

Śmieciożerca

Wiktor Stamelski miał dwie dziwne przypadłości.

Pierwszą z nich były kompulsje, o których nikomu nie mówił, przez lata odraczając udanie się do specjalisty. Drugą z kolei było głośne rozmawianie z samym sobą, zwłaszcza wtedy, kiedy wokół nie było ludzi. Pomagało mu to rozładować drzemiące w nim napięcie, które nierzadko nie pozwalało normalnie funkcjonować. Wiktor zajmował się zbieraniem śmieci – zawód ten był następstwem pospolitego szabrownictwa. Co więcej, świat potrzebował takich ludzi, jak Stamelski, odważnych, ale i głupich.

– Któż inny by to wszystko pozbierał? – pytał samego siebie, podnosząc co większe kawałki i ładując je na rdzawy wózek. – Co? No kto, jak nie ja?

Za duże kawały złomu otrzymywał więcej pieniędzy. Kupowano i sprzedawano na wagę. Część zysku i tak zabierało państwo, gdyż opodatkowanie w tej branży wynosiło blisko dwadzieścia procent. Mniejsza opłata obowiązywała w stosunku do odpadów radioaktywnych, jednak Wiktor czuł wobec nich awersję. Mimo to, jak na ironię przystało, przemierzał właśnie radioaktywne pustkowie. Tu leżało najwięcej śmieci. To właśnie tutaj kierowało się wielu śmieciożerców – tak nazywano tych, którzy żyli ze sprzedaży śmieci, spośród których metal był najbardziej pożądanym.

– Martwa ziemia, oj, martwa. Ale to oni do tego doprowadzili, nie my.

Pustka po wybuchu bomby atomowej przypominała upiorną krainę, w której życie zniknęło w ciągu jednej chwili, a czas zatrzymał się na zawsze. Zostały tylko zgliszcza oraz pył. Pył zakrywający w niektóre dni słońce.

Krajobraz, niegdyś pełen życia, teraz wyglądał jak pokryta warstwą popiołu pustynia. Zniszczone budynki, powykręcane metalowe konstrukcje, połamane jak zapałki drzewa – wszystko to przypominało pozbawione życia szkielety. Miraż dawnej cywilizacji.

Nie słychać było żadnych dźwięków, poza szelestem wiatru przesypującego pył z miejsca na miejsce. W jednej chwili wyparowali tutaj nie tylko ludzie, ale i wszystkie zwierzęta. Została tylko cisza, która stała się królową tego odludzia.

– To było tak dawno temu – westchnął Stamelski. – Tak dawno. – Zatrzymał się, wyciągnął z kieszeni kurtki złamany na pół kawałek sztywnego papieru. – Moja droga, musisz im to wybaczyć.

Przyjrzał się zdjęciu, które widział już tysiące razy. On i ona. Szczęśliwi w smutnym świecie za żelazną kurtyną.

– Wdycham zatrute powietrze, gęste od pyłu, Aniu – zakasłał ochryple. – Ty nie dałaś rady. Pamiętam. – Schowanym w rękawicy palcem gładził zachowane na zdjęciu lico ukochanej. – Ale oni musieli to zrobić, wiem, że na pewno to rozumiesz.

Wokół niego roztaczało się brudne pole bieli i szarości. Wiktor stał pośrodku miejsca, do którego życie prędko nie powróci. To tylko pustkowie, myślał. Jediną nadzieją jest to, że nigdy więcej nie dojdzie do zniszczenia na taką skalę. Nikt się już nie odważy.

Zbliżył się do powalonych słupów energetycznych, ogromnych trójkątnych konstrukcji rozebranych do połowy. Śmieciożercy mieli tu wyzerkę, żartował w myślach z podłego losu.

Z wojskowego plecaka wyciągnął pokaźne nożyce do metalu. Odcinał rurę po rurce, męcząc się przy tym, po czym ładował całe żelastwo na wózek. Wiedział, że musi zdążyć przed zachodem słońca. Posiadanie samochodu było przywilejem wodzów i ludzi z wyższego szczebla, ale nie brakiem pojazdu się przejmował, lecz chłodem, który nadejdzie, gdy słońce zniknie za horyzontem.

– Musieli to zrobić – mówił, z zapalem tnąc metal. – Dzięki temu jesteśmy bezpieczni.

Wszedł na teren elektrowni w poszukiwaniu ciekawszych artefaktów. Dotarł do rozpadliny w asfalcie, prowadzącej prosto do wnętrza ulokowanych pod ziemią pomieszczeń. Jego detektor promieniowania jonizującego zaczął trzeszczeć w charakterystyczny dla tych urządzeń sposób.

– Oho, jest – mruknął, po czym się zawahał. Musiał ocenić zagrożenie. Uważnie przyglądał się rosnącej na liczniku wartości wyrażanej w siwertach. – Jeśli znajdę metal napromieniowany, dostanę więcej pieniędzy. – Przypomniawsobie, jak bardzo nie lubi promieniowania. – Oj, Aniu, miej mnie w opiece. Do diabła, chyba zaryzykuje.

Tak to sobie tłumaczył – radioaktywny złom miał podatek wynoszący nie dwadzieścia, a zaledwie pięć procent. Taka polityka państwa miała zachęcić śmieciożerców do zbierania radioaktywnych odpadów i sprzątnięcia pogorzeliiska.

Wewnątrz nie natknął się na nic interesującego. Zapalił latarkę, kiedy powoli zaczynał tonąć w mroku. Wnętrze zrujnowanej elektrowni przypominało labirynt korytarzy, komór i zakamarków. Teraz to wszystko i tak można było nazwać kompletnymi zgłiszczami. Komputery z lat osiemdziesiątych, stare panele kontrolne, kable – wszystko to zostało doszczętnie zniszczone. Zegary z kolei zatrzymały się na jednej konkretnej godzinie: 4.42.

Kiedy przyjrzał się jednemu z nich, zaczął przypominać sobie tamten poranek. Trzydzieści dwa lata temu dziewiętnastoletni Wiktor Stamelski, murarz ze Szczecina, spał w baraku w niemieckim mieście Anklam, gdzie od miesiąca pracował na budowie. Jego narzeczoną, Anna, była wtedy w Świnoujściu u swoich rodziców.

Raz jeszcze tego dnia spojrzął na ich wspólne zdjęcie, jedyną pamiątkę, która mu po niej pozostała. Obrazy w głowie były znacznie gorsze. Próbował wyprzeć te myśli z głowy, zapamiętać ją jako piękną i uśmiechniętą blondynkę, która właśnie dostała się na Akademię Medyczną w Szczecinie. Widok choroby popromiennej, trawiącej jego ukochaną powracał w snach jak mara, dusząca człowieka we śnie. Zawsze wtedy budził się z krzykiem, zaczynał chodzić po domu, ustawiać wszystko w należyтым symetrycznym porządku. Dużo wtedy rozmawiał, jak zwykle, sam ze sobą.

– Musieli to zrobić. Wiedzieli, co robią. Na pewno.

Gorbaczow został szybko usunięty ze stanowiska. W styczniu roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego rozpoczęły się manifestacje na terenie Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

– A może to był tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty dziewiąty? – rozmyślał Stamelki. – Co za różnica? Tam u władzy były zachodnie marionetki. NATO miało lada chwila wkroczyć do Berlina. Później przysliby do Polski, a potem poszli jeszcze dalej. Zniszczyliby cały blok wschodni. To była ostatnia szansa, by temu zapobiec. Więc to zrobili...

Trzydziestego pierwszego sierpnia osiemdziesiątego dziewiątego roku o godzinie 4.42 wysłano ostrzeżenie całemu światu. Specjalna operacja. Plan był inny, bo bomba miała eksplodować dwie minuty wcześniej, jednak widok zasłoniły chmury i pilot jeszcze przez chwilę szukał centrum miasta. Nikt o tym nie wiedział przez ponad dziesięć lat. Nikt też nie wiedział, czym był ten rosnący błysk widziany wtedy o poranku.

Ani ja, ani Ania nie wiedzieliśmy, pomyślał Stamelki.

– Towarzysze radzieccy poświęcili Berlin – skonstatował. – Odgradzili się od tego zgnitego Zachodu nuklearnym Pustkowiec. I dobrze tak tym pederastom. Najpierw Napoleon, później Niemcy, teraz Amerykanie. Każdy z nich chciał nas zniszczyć. Połamali sobie zęby, chuje – smarknął przez chustę. – Przepraszam, Aniu, nie powinienem się tak wyrażać.

Odetchnął ciężko, schował zdjęcie do kieszeni i postanowił wyjść na zewnątrz, gdzie zostawił swój załadowany żelastwem wózek. Po drodze zabrał kilka gratów, przy których detektor trzeszczał bez przerwy. Myśli mącące umysł, przysłoniły mu zdroworoządkowe podejście. W ogóle nie dopuszczał do siebie informacji, że ktoś mógłby ukraść mu całą dniówkę. Ta możliwość uderzyła go dopiero teraz.

Przyspieszył kroku.

– Szybciej, szybciej...

Ciemne, obskurne korytarze były jak upiorny labirynt, w którym brakowało świeżego powietrza. W niektórych miejscach do dziś czuć było na ustach metaliczny posmak promieniowania. Te akurat omijał szerokim łukiem.

Kiedy wyrzął na zewnątrz, dostrzegł sylwetki postaci. Ktoś go zauważył, wypalił z pistoletu. Kula rozwalila kawałek asfaltu, a Wiktor upadł, chowając się w ramionach rozpadliny.

– Hej, intruz!

On sam nie miał broni, jedynie te ogromne nożyce do metalu. Nie miał szans. Nie zdziwił go fakt, że mężczyźni mówią po polsku, ale to, że do niego strzelili.

– Wyłaź!

– Śmieciożercy?! – zawołał.

– Jak zaraz nie wyjdiesz, to się tam do ciebie przejdę – rzucił ten, który strzelał.

Wiktor zacisnął zęby i zaryzykował. Opuścił szczelinę z podniesionymi rękoma. Zobaczył czterech mężczyzn ubranych w granatowo-czarne uniformy z odblaskowymi lampasami. Mieli przy sobie sprzęty, których nigdy wcześniej nie widział – krótkofalówki, szerokie zegarki, futurystyczne gogle.

– To twój wózek? – zapytał jeden z nich, patrząc po towarzyszach, a potem z powrotem na Stamelskiego. – Zbierasz złom?

– T-tak. – Wiktor drżał ze strachu. Próbował przypomnieć sobie, kiedy ostatnio z kimś rozmawiał.

– Jesteś Sowietem?

Stamelski kiwnął niepewnie głową. Czuł, że zaraz go rozstrzelają.

– Co ty tu robisz?

– Ten złom... – Przerażony pokazał palcem na wypełniony żelastwem wózek. – Za niego dostanę pieniądze. Kupię prąd, obejrzę przemówienie wodza, może wymienię je na kartki... By zjeść coś dobrego...

– Ponoć wycofaliście się za Odrę. Nieprawda to?

– Prawda, panie. To ziemia niczyja.

Młody mężczyzna z pistoletem w ręku zirytował się wyraźnie.

– To demokratyczne Niemcy, a nie ziemia niczyja. Tak wam mówią w telewizji?

– Rozwal go, Szpila – odezwał się stojący za dowódcą funkcjonariusz o głębokich zakolach. – To tylko głupi Sowiet. – Nerwowo kopnął w wózek Stamelskiego, z którego posypały się graty.

– Proszę – skomlał Wiktor. – Dajcie mi wrócić do domu.

– Do domu? – Ten uzbrojony pomachał pistoletem w rękę, jakby z nudów. – To znaczy gdzie?

– M-m-mieszkam w Rauen, tymczasowo. Zwożę tam złom, by później wywieźć go do Frankfurtu.

– Sam? – zapytał łysy.

– Nie, znajomek z Polski przyjeżdża Żukiem. Ładujemy to, a później oddaję mu trochę zysku. Opłaca się tak...

– Chodź z nami – zaproponował ten z bronią, opuszczając ją na wysokość pasa. – Zawieziemy cię do Hanoweru, tam trafiają wszyscy, którzy uciekają ze wschodu przez pustkowia.

– Nie trzeba, ja nie uciekam. – Wiktor poczuł odrobinę ulgi, więc opuścił trzymane do tej pory w górze ręce. – Ja wezmę wózek i pójdę do Rauen.

– Co za paskudne życie sobie wybrałeś – skomentował łysy. – Przesrane. Zrzucili wam atomówkę niemal pod nogi, a wy się jeszcze radujecie z życia w tym zasranym państwie. Szkoda, że NATO nie ma takich jaj, by zrównać całe ZSRR z ziemią.

Łysemu wtórowali koledzy, śmiejąc się z Wiktora. Wtedy nagle coś w Stamelskim pękło. Zezłościł się nie na żarty, poczerwieniał i ściągnął brwi.

– Przynajmniej nie jestem zachodnim pederastą, ty świnió, ty bandyto! Tam u was nic nie ma! Mnie tu dobrze! A w ogóle to was wszystkich powinni wysadzić, w pizdu, o!

Nie wahając się ani chwili dłużej, śmieciożerca doskoczył do wózka, szarpnął za uchwyt i przeciągnął złom na swoją stronę. Mężczyźni z Zachodnich Niemiec patrzyli na niego jak na małpoluda. *Homo sovieticus*, tak nazywali takich, jak on.

– Zabierzcie mnie, by robić na mnie testy genetyczne! Co to to nie!

Odwrócił się do nich plecami i ruszył na wschód wraz z wózkiem pełnym metalu. Nie zaszedł jednak daleko. Strzał rozbrzmiał, a kula zraniła Stamelskiego w nogę. Mężczyzna upadł na bok, chwytając się za tył uda. Wydarł się jak zwierzę.

Oprawcy podeszli do niego z wolna. Każdy z nich nosił w sobie niezabliźnione rany. Ci, którzy wstępowali do oddziałów monitorujących sytuację na pograniczu, robili to z pragnienia zemsty. Wielu takich chłopaków straciło bliskich, ojczyznę, za którą tęsknili. Wielu nie pamiętało, czym właściwie jest Polska. Urodzili się na Zachodzie, przyzwyczajeni do dobrobytu, współpracy i demokratycznych wartości.

Stamelski całe życie mieszkał tu, gdzie mieszkał – między Niemcami a Polską Republiką Ludową. Nie znał innego świata, poza tym, o którym słyszał w radiu i telewizji, o którym

czytał w gazetach. Świat ten, z wyjątkiem najwspanialszego Związku Radzieckiego, był zgniły i upadły.

– Jak mnie nazwałeś, peerelowska łajzo? – zapytał łysy, kiedy stanęli nad nim.

Najstarszy z oddziału miał góra czterdzieści lat, najmłodszy nie więcej niż dwadzieścia pięć. Stamelski widział wielu takich fanatyków Zachodu. Dziś pozostał po nich popiół, który przypominał o nieudanej rewolucji, ale też budził podziw i strach, bo żadna kolejna rewolta już nigdy nie nadeszła.

– Sława Rosji! – wykrzyczał Wiktor. – Sława ZSRR!

Jego słowa nie przypadły do gustu funkcjonariuszom, którzy wnet zaczęli okładać Stamelskiego pięściami, kopać ciężkimi butami i szarpać z nienawiścią. Ten skulił się jak żółw, rękoma próbując ochronić głowę. Krzyczał, by ktoś go uratował, wzywał pomocy. Pustkowie nie bez powodu tak się nazywało.

W końcu jeden z nich podniósł metalową rurkę i uderzył poturbowanego mężczyznę w plecy tak, że ten wyprężył się z bólu, odsłaniając wrażliwe partie ciała.

Kiedy się zmęczyli i przestali atakować, Stamelski, cały we krwi, sięgnął połamanymi palcami do kieszeni kurtki, wygrzebując stamtąd zakurzone i naderwane zdjęcie.

Widział tę fotografię tysiące razy, ale chciał spojrzeć jeszcze raz, ostatni raz, aby móc rozpoznać dziewczynę w Niebie, w które, wbrew zakazowi umiłowanego sekretarza partii, tak bardzo, bardzo wierzył.

– Ania – charknął, plując krwią. – Dlaczego oni to zrobili?

Ostatnim, co zobaczył, był metalowy pręt pędzący w kierunku jego głowy.